ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok I. Warszawa, dnia 20 listopada 1909 r. № 47.

Wacław Gąsiorowski.

EMILIA PLATER.

34 Powieść historyczna.

Hrabianka dosiadła konia. Kary anglez wspiął się hardo i zarżał. Amarantowy sztandar błysnął krwawym odblaskiem i srebrem Pogoni skłonił się wolontarzom.

— *Giwi Lijtuway!* — zawołała Emilia.

— *Giwie grafianka!* — odpowiedział tłum.

— W imię Boże! Naprzód! Na ludu wyzwolenie!

— *Amën! Amën!*

Trąbki zagrały marsza, tarabany takt wybiły. Kilkunastu strzelców wyrwało z ognisk gorejące głownie i drogę niemi obramowało.

Pochód dźwignął się i jął zanurzać w ciemni. Przez chwilę jeszcze swem czarnem cielskiem obecność swą znaczył, jeszcze stalą się skrzył, jeszcze czerwonemi smugami światełek, idących z pochodni, kłaniał się obozowisku, aż pogrążył się i znikł za czarnemi garbami pól.

XI.

Oddział hrabianki Emilii już przed świtem stanął pod Dowgielami, przyczaił się i, podawszy ręce kawaleryi Desztrunga i strzelcom Buchowicza, zacisnął pierścień i runął na postój plutonu huzarów.

Rozprawa była krótka i niemal bezkrwawa—szyldwach bowiem, znienacka zaskoczony, nie zdołał wszcząć alarmu – i stąd, zanim podporucznik z podoficerami zdołali się porwać do broni, pluton, napadnięty i w stajniach i na kwaterach, już uległ przemocy.

Zdobycz była znaczna, choć nie tak wielka, jakiej się spodziewano, bo tabun koni, zarekwirowanych dla wojska, dzień przedtem wyciągnął do Wiłkomierza. Lecz i trzydzieści koni huzarskich, wraz z pełnem uzbrojeniem, było dla powstańców nielada sukursem, zwłaszcza, że doń przybywało kilka karabinów i dwa wozy wszelakiego żelaztwa wojskowego, przyprowadzone przez Desztrunga z rozbitego pod Imbrodami konwoju.

Hrabianka ani chwili nie mitrężyła w Dowgielach, boć mrowie spraw było do rozstrzygania, mrowie zarządzeń do wydania. Trzeba było i broń rozdawać, i ład tęższy w oddziałach wprowadzać, i ćwiczyć je, i dowgielskiego ochotnika przyjmować, i o strażach, i o furażach, i o języku pamiętać, i gońce słać dokoła z wieściami, i o dalszych poruszeniach pamiętać.

Ale Emilia miała taką bystrość w pamiętaniu, taką na wszystko jakby z dawna zaprawioną determinacyę, iż cała otaczająca ją starszyzna, od panów Godaczewskiego i Desztrunga począwszy, aż do Durbinasa borowego, na prześcigi się uwijała.

Oddział hrabianki w oczach rósł, zmacniał się, krzepł, jędrniał w pojętności.

Na południe miała Emilia sześćdziesięciu kawaleryi, stu ośmdziesięciu strzelców i trzystu kilkudziesięciu chłopa, zbrojnego w kosy, piki i krótszy sieczny oręż.

Najdotkliwszym niedostatkiem oddziału był brak prochu i obuwia. Na razie starczyło i pierwszego, i drugiego. Łapcie wybornie się sprawiały tam, gdzie butów nie było; ładunków wypadało do pięćdziesięciu na strzelbę. Ale należało pamiętać o jutrze, należało iść naprzód nie tylko na wojowanie, ale raczej na szukanie magazynów, składów, zapasów, na mnożenie szeregów, na rozszerzenie rewolucyi, należało iść tem śpieszniej, iż ubogie Dowgiele w pół dnia zbyły się dla powstańców wszystkiego, więc i ramion co silniejszych, i serc co gorętszych, i zapasów, i koni i wozów,—należało działać co tchu, bo wieści były groźne.

Przed czterema dniami przez Dowgiele przeciągnął generał Szyrman z artyleryą i ćmą piechoty, i ku Wiłkomierzowi podążył. Czy w Wiłkomierzu się zatrzymał, czy też ruszył dalej—nie było wiadomo. Jedni ręczyli, że popasający oficerowie mówili o Kownie i Niemnie, nad którym korpusik Szyrmana ma straże zaciągnąć; drudzy napomykali o Poniewieżu, gdzie jakoby śledztwo miało się prowadzić, a inni znów widzieli wojsko generała i pod Ucianą, i pod Owantą, i pod Oniksztami, i w Sołokas, a więc nawet i we wręcz przeciwnej stronie.

Tymczasem rozesłane na wsze

strony rekonesanse z niczem wracały. Nawet ruchliwy zazwyczaj trakt dyneburski, krom garści kmieci okolicznych, nie dawał upragnionego języka; nawet spodziewana a niezawodna landara pocztowa z Jeziorosów nie nadchodziła.

Hrabiankę niepokój zdjął. Według planu, winna była ku Dyneburgowi dążyć i dążyć tak, aby naddźwińska forteca nie zdołała mostów zwieść, aby wybuch buntu szkoły podchorążych wypadł równocześnie z niespodziewanym napadem. Wyciągnięcie generała Szyrmana z fortecy było poniekąd dobrą wróżbą, bo osłabiało Dyneburg,— lecz znów spotkanie z generałem na drodze groziło jeżeli nie klęską, to popłochem i obudzeniem czujności fortecy.

Starszyzna, zwołana na radę, podzieliła się na zadufanych, gotowych z widłami na całą armię maszerować, i na nieufnych, obawiających się lada śmielszego postanowienia.

Nadomiar deszcz, który dotąd mżył znośnie, w pluchę wietrzną a przejmującą wskróś się zamienił, niewoląc powstańców do szukania schronienia po dworkach i izbach, i zmuszając ich do przedłużenia postoju.

O zmierzchu dopiero, wraz z ustatkowaniem się ulewy, nadeszła pierwsza i pewna wiadomość. Mianowicie Półnos, który samotrzeć wózkiem na ochotnika się wysforował do Sołok, powrócił z nowinami, że z Deguci ledwie co wyciągnęła kompania piechoty, wracająca do Dyneburga, i że krom niej niema wpobliżu żadnego wojska. Ale—że kompania musiała dowiedzieć się o wybuchu rewolucyi, bo nad ranem do kapitana dowodzącego strażnik się opowiedział, poczem wnet zabębniono na alarm, rozstawiono straże w wylotach ulic, a całą kompanię ustawiono pod bronią. Nadto, kiedy landara pocztowa nadjechała, kapitan zabrał listy i pocztylionowi do Jeziorosów wracać kazał. Pani Rudominowa, która właśnie wracała pocztą z córkami do Dukszt, opierała się rewidowaniu jej pakunków, lecz kapitan w głos zakrzyknął:

— A co, nie podoba się? a buntować się wam podoba! A!?

Hrabianka na tę relacyę aby z Desztrungiem kilka urywanych zamieniła zdań i kazała natychmiast ściągać wedety a gotować się do pochodu, rozumiejąc, że za wszelką cenę należało kompanii piechoty drogę zagrodzić.

Strzelcy owsiejowscy, jako najwięcej do karności zaprawieni, oraz część kawaleryi pod Desztrungiem wyciągnęła natychmiast. Reszta oddziału atoli, mimo zabiegów dowódców, formowała się ociężale, ku czemu niepomału przyczyniła się ulewa, która cały rynek w błotnistą rozciecz zamieniła. Przytem, pomimo wysłanych rozkazów, czatujący na trakcie od Uciany Buchowicz nie wracał.

Hrabiankę niecierpliwość zdjęła. Zmarudziła jeszcze godzinę na sprawienie szyku i wysłanie gońca do Dusiat, do hrabiego Władysława, aż, obawiając się opóźnienia, dała znak wymarszu.

Aliści, zaledwie ustawieni na czele strzelcy drgnęli, na rynek wpadł eskortowany przez powstańców tarantas podróżny, wioząc pojmanego na trakcie oficera inżynierów.

Buchowicz, który towarzyszył eskorcie, zdał krótką sprawę hrabiance i wręczył jej depesze, wiezione przez oficera od generała Szyrmana do komendanta dyneburskiego. Z depesz tych wynikało, iż Szyrman, powiadomiony najdokładniej o wybuchu w Antuzowie i wrzeniu, które Wiłkomierza sięgało, okopał się w Ucianie i tu postanowił czekać na posiłki z fortecy.

Emilia, ucieszona z rozproszenia niepewności co do Szyrmana, ani myślała tracić czasu na indagacyę jeńca i, poleciwszy starszemu ze Stęgwiłłów—który straż tylną, z kosynierów złożoną, miał trzymać,— aby oficera strzegł, ruszyła na czoło dźwigającego się oddziału.

Powstańcy, zagrzani wspomnieniem dowgielskiego zwycięstwa, żwawo szli, nie bacząc na noc zapadającą i pluchotę, która znów się rozpadała. Ten i ów z mieszczuchów a waszeciów wyrzekał cichaczem na psie powietrze a dziwił się zawziętości chamstwa, co, jakby chcąc się nasycić błotem, obuwie zzuło i bosemi nogami po topniejącej grudzie chlupotało. Ale przecież kolumna cale sporo posuwała się naprzód i pierwszą milę w ordynku przebyła. Na drugiej mili wszakże pluchocie przybył wiatr zimny, wschodni do pomocy i w ciągu dwóch stajań tak zsiekł oddział, tak mu dokuczył i wilgocią, i ziąbem, i ciemnością, że najwytrwalszym więzły nogi, grabiały ręce, że najżwawsi jęli odstawać i ład pochodu mieszać.

Na nic się nie przydała czujność hrabianki, która raz za razem na tyły zawracała, zachęcając do marszu, do wytrwania,—na nic wezwania Buchowicza, Stęgwiłłów, Godaczewskiego i Kuczewskiego. Nawet Półnos, który tuż obok skostniałej napoły Anetki Prószyńskiej wlókł się na dychawicznym dereszu, nie mógł strzymać się i bąknął do Emilii:

— Ani weź, miłościwa hrabianko! Gdzie tu o batalii myśleć, kiedy woda za kołnierzem bulgocze, a już do panewek, choć je za pazuchą niańczę, się dobiera!

— Musimy strzymać Desztrungowi... musimy zdążyć... inaczej kompania nam ujdzie.

— Nie supponuję. Toć i on kapitan, nie cudak żaden, żeby w taki czas po świecie się wałęsać.

— Tem prędzej go dosięgniemy.

— Ale ludziom dobrzeby pofolgować. Rozlezą się do cna, że w trzy dni ich nie zbierze.

— W pierwszej wsi wytchniemy. Co wasze powiadasz?

— Że po omacku trudno będzie, boć tu choć oko wykol, a właśnie, według mej kalkulacyi, znajdujemy się akuratnie pod sadybą burłacką... z lewej być powinna.

— Jesteś waćpan pewien?

— Hm!.. Pomnę, że o dobre stajanie, za krzyżem, droga boczna skręcała ku niej przez łąkę... Ale łatwiej dyabła się domacać, niż krzyża wypatrzeć!.. Niema co chyba...

Tępy, zdławiony odgłos nierównych wystrzałów rozległ się w dali.

Hrabianka zdarła gwałtownie konia. Kolumna powstańców, jakby piorunem rażona, stanęła.

Strzały umilkły.

DCN

Władysław St. Reymont.

MARZYCIEL.

44

Tylko zęby zaciska i lata po stacyi, jak wściekły pies, a odbija się na wszystkich na swój chamski sposób; już nawet pobił zwrotniczego i nawymyślał pomocnikowi. Skończy się ta chryja ogólnym gniewem i raportami do władz.

A na górze także wesołe piekło: spazmy, płacze i nieustanne wrzaski. Naczelnikowa postawiła ultimatum ekspedytorowej: że jak nie wyrzuci Rózi, to zawoła policyę i każe dziewczynę wziąć do rewizyi i wyrobić jej czarną książkę...

Taka wstydliwa słodka matrona i wie o tem wszystkiem.

Myślałem, że miała tylko do czynienia ze „Złotym ołtarzykiem".

Na złość tym wszystkim cnotliwym klempom, sprowadzę do siebie Franię.

Ale, na ekspresie mieliśmy nadzwyczajną hecę. Raczył wyjeżdżać na Rivierę miejscowy milioner, prawie chałatowy szajgec, kupiec lasowy. Jechał z żoną i córkami, a odprowadzał ich cały rodzinny kahał. Ciotki w perukach, a kuzyni w pofrendzlowanych jupicach i z pejsami. Na stacyi zrobił się gwałt i rejwach, bo kiedy pociąg ruszał, zaczęli wszyscy machać brudnemi chustkami, lecieć z pociągiem i wrzeszczeć:

— Do widzenia, stryj Izydor! Do widzenia, ciocie Regine! A pisz! A pisz!

Psiakrew, żeby takie ordynarne tałałajstwo śmiało się tak rozpierać!

Pieniądz z byle parcha robi króla! Można się wściec ze złości!

Ja sobie kpiłem z tego rublowego entuzyazmu, ale zawiadowca, pomocnicy i ekspedytor weszli do wagonu pożegnać państwa Baum i życzyć im szczęśliwej podróży!.... Ludzie zawsze muszą przed czemś bić pokłony, chociażby nawet przed cudzym milionem! A we mnie wzbiera coraz większy wstręt i nienawiść!

Pani prezesowa zaprosiła mnie do siebie na herbatę.

Leje znów jak z cebra, błoto i strasznie ciemno; ale pójdę, przecież to jedyny w mieście dom, gdzie się nie spotyka kolejarzy.

Środa. Wciąż i bezustannie pada, czarno, ponuro, zimno i tak strasznie smutno! Pociągi przechodzą puste i zaszargane, jak chałaciarze; w bufecie ani żywej duszy, tylko pieski wyprawiają sobie wesela; nawet panna Marychna uśmiecha się jakoś żałośnie i mokro. Muszę pisać, bo inaczej wściekłbym się z nudów.

P. Zofia pojechała do Warszawy. Bez jednego słowa podała mi bilet przez okienko; szyby były zapotniałe, nie mogłem dojrzeć twarzy, ale poznałem ją po pulchnych rękach; ostemplowałem bilet i zwróciłem; przytrzymała mi rękę i szepnęła jakoś łzawo:

— Jeśli się stanie jakie nieszczęście, to niech pan chociaż wspomni o mnie.

Nim się zebrałem na odpowiedź, już jej nie było; nie wyjrzała nawet z pociągu.

Strachy na lachy! Nie mnie brać na takie plewy! Kupi sobie nowy kapelusz i już będzie po tragedyi! Ale i Soczek mnie unika; był na stacyi, przechodził koło okna i umyślnie odwrócił głowę, żeby mi się nie ukłonić! To i lepiej, nie potrzebuję mu świecić baki. Musi jednak mieć do mnie jakąś ansę!

Żal mi jej trochę. Wdomu tak nudnie, że piesby nie wytrzymał, a Magdzia wszystko robi mi na złość i posługuje jakby z łaski. Wróciłem od prezesów dosyć wcześnie i musiałem się zaraz położyć, bo nie nalała mi nafty i zapomniała napalić w piecu!

Łapacz wygarnął z osobowego pół wagonu gapy — sami chałaciarze; narobili wrzasku i uciekali, jak zające; łowili ich po całej stacyi, ale większa część uciekła. Konduktora natychmiast zasuspendowano. Słusznie — złodziejstwo powinno być tępione bez miłosierdzia. Ale czy można wyżyć z rodziną za czterdzieści rubli miesięcznie?..

Mieszka u Soczka, na dole, znamy się z widzenia; przyszedł do kasy, jak z krzyża zdjęty i płakał... Boi się, że go wyrzucą i pójdzie na dziady! Straszna rzecz patrzeć na płaczącego mężczyznę! Przyleciała jego żona i z rykiem tarzała się u nóg zawiadowcy. Obiecał znaleźć jakieś łagodzące okoliczności! Poco szukać wykrętów? Służy trzydzieści lat, ma sześcioro dzieci, ciągłe areszty na pensyi, a nędza żre go przez całe życie!

Oto obraz kolejarskiego żywota! Lepiej się nad tem nie zastanawiać!

Zaledwie skończyło się z konduktorem, zrobiła się heca z Rózią; ekspedytorowa musiała ją wyrzucić, ale dziewczyna wzięła na kieł i, rozpuściwszy język, nawymyślała jemu od złodziejów, jej jeszcze gorzej, aż ekspedytor wyleciał z kijem i groził żandarmami. Rózia się nie ulękła, ale zaczęła na całe gardło pomstować, rozpowiadając z płaczem, jak to było, że wieszała bieliznę, że chciała nawet krzyczeć, ale on ją zaczął bić... Słowem — same śliczności, co jednak dla nas kolejarzy nie jest żadną nowiną.

Prawie cała stacya słuchała tych szczegółów, a mój bagażowy krzyknął:

— Baj, baju! będziesz w raju! Wiadomo — zawsze suczka winna, nie piesek.

Dostał za to przez łeb czemś twardem, a że nie pozostał dłużnym, zrobiła się jeszcze większa i głośniejsza awantura.

Zawiadowca uciekł gdzieś na stacyę towarową, w domu takie piekło aż słychać w bufecie, menażerya szaleje, dzieci płaczą, służba lata nieprzytomnie; pani podobno chora, przychodził już doktor, posyłała nawet po księdza; dziekan, który ją dobrze zna, kazał powiedzieć, żeprzyjdzie wieczorem, ale na preferansa...

Skończy się wszystko na spazmach, krzykach, jeneralnem praniu domowych brudów przed sąsiadkami, a sutej kolacyi z obfitą podlewą dla przebłagania wzburzonej opinii — jak zawsze i jak wszędzie.

DCN.

JÓZEF JANKOWSKI.

Budowa świątyni.

(Paralipomenon, II, 2).

KRÓL SALOMON DO KRÓLA TYRSKIEGO HIRAMA:

Jako-ś z Dawidem, mym rodzicem,
Przyjaznem się obchodził licem,
Kiedyś na domu mu budowę
Z Libanu drzewo słał cedrowe:
Tak też się obejdź dzisiaj ze mną,
Przyjaźnią płacąc mi wzajemną.

Bo oto Pana mego, Boga,
Chcę imieniowi dom budować
(Jako że ojciec nie mógł, wroga
Zmuszony tępić i wojować),
Iżbym z oblicza młodej ziemi
Kadził rzeczami Mu wonnemi,
I całopalne Mu w sabaty
Składał ofiary—bój bogaty,
I na miesiąców wszystkich nowiu,
Toż pokładane z chlebów wielu:
Panu, co w ludów żyje mrowiu,
Bogu, co wiecznie w Izraelu.

A dom ten, ludu moc i straż,
Ma krasą wielką lśnić rozłogów,
Albowiem większy jest Bóg nasz
Nad wszystkich bogów!

Acz kto tak śmiały okazale,
By dom budował Jego chwale?
Gdy Go nie tylko ziemia cała,
Ale i niebo, które pała,
I niebios nieba nie ogarną,
W przestworach Jego piasku ziarno...
Zali ma mieszkać Bóg z człowiekiem,
Z chwilą, co wieków jest wszechwiekiem?..
A cóżem ja z zamysłem przednim?
Chyba, bym jeno kadził przed Nim.

Przyślij mi przeto uczonego
Męża—z tych, których króle strzegą,
Któryby umiał złotem, razem
Srebrem, i miedzią, i żelazem
Robić, hyacyntem i szarłatem,
I karmazynem, iżby zatem
W rzemiośle zacnem przemisternie
Rysował, rzezał, w ład, pomiernie,
Z umiejętnymi w moim ludzie,
Którzy są lepsi tutaj w Judzie,
W Jeruzalemie, których rój
Zgotował Dawid, rodzic mój.

Przyślij mi także cedrowego
Drzewa, i almugimowego,
I jodłowego z gór Libanu,
Na szczytny dom mojemu Panu.
Bo wiem, iż żadni z taką świetną
Umiejętnością drzewa nie tną,
Jak twoi ludzie na Libanie.
Moich też zastęp duży stanie
I będą sobie wzajem radzi.
Bo ja dam obrok twej czeladzi
Do pracy chętnej nagrodzenia:
Pszenicy mełtej i jęczmienia
Niepośledniego po dwadzieścia
Tysięcy korcy —
I wiader wina i oliwy
Bareł po tyleż. Niech godziwy
Trud nagotuje belek stosy:
Bo oto Panu tchnąc w niebiosy,
Chcę pobudować dom nad domy,
Skądby prąd mocy słał widomy
I wylew czynił łask Swych rzeki,
Z ludem mieszkając Swym na wieki.

Robert Hichens.

Przekład z angielskiego.

OGRÓD ALLAHA.

47

XXII.

Namioty ich były rozbite na wzgórkach piaszczystych, na północ od miasta, w pobliżu cmentarza francuskiego i arabskiego. Dostali się do nich zaledwie ze zmierzchem zapadającym, idąc pieszo z miasta przy wielkiej ścianie z kamienia ciosanego, która zamykała kasbę tubylczych żołnierzy, postępując i zstępując po stokach piasków głębokich, nad któremi nocne powiewy unosiły się ze szczególnie lubą świeżością; wznowiły one w Domini to uczucie, iż znajduje się na krańcu świata.

W drodze ku namiotom towarzyszyła im mała procesya. Szabah, kaid Amary, krępy mężczyzna, którego powaga przeogromna przeobrażała prawie że w olbrzyma, naparł się towarzyszyć im do namiotów, wraz ze swym młodszym bratem, ślicznym, hulaszczym chłopcem lat szesnastu, z jego guwernerem, czarnym, jak murzyn, arabem, atoli bez tego wyglądu murzyńskiego, który jest jak po świeżem wytłuszczeniu, i z dwojgiem świty. Do nich przyłączył się kaid nomadów, ogorzały potentat, który nie tylko wyglądał, jak olbrzym, lecz był prawdziwie olbrzymem, czterech jego służących i wuj jego, osoba szanowna, coś w rodzaju króla pasterskiego. Dostojnicy ci otoczyli Domini i Androwskiego, a obok nich falowali ciekawi, zazdrośni, chciwi i zmienni arabowie, ciągnący się zawsze, jak ogon, za cudzoziemcem, w nadziei przysłowiowych okruchów, spadających ze stołu możnych.

Po przybyciu do namiotów trzeba było niezbędnie przyjąć cały ten zastęp szanowny kawą czarną— i wtedy ostatecznie odeszli, obiecując rychły powrót i składając sute zaproszenia, które zostały serdecznie przyjęte przez Batucza w charakterze orędownika, zanim jeszcze Domini i Androwski mogli wyrzec słowo.

Kiedy już orszak ten oddalał się na piaskach ku miastu, Domini wybuchnęła krótkim śmiechem i pociągnęła Androwskiego ku drzwiom namiotu, by go zobaczył.

— Cała *socyeta* w piaskach!— zawołała wesoło. — Rzecz całkiem nowa. Popatrz-no tylko na naszych gości, jak idą ku swym pałacom.

Możnowładcy postępowali ku miastu poprzez białe zaspy piaszczyste. Szabah miał szatę długą czerwoną. Brat jego amarantową ze złotem i białe spodnie rozłożyste. Kaid nomadów ubrany był zielono. Poruszali się wszyscy z wielkiem i świadomem dostojeństwem, otoczeni przez swą świtę pochlebczą. Niebo purpurowe nad nimi wyłoniło jasną gwiazdę wie-

czorną. W pobliżu jej był widzialny lekki zarys młodego miesiąca. Rozrzucone nad rozłogiem wznosiły się liczne *kubbahy*, zielone na bieli, z bielonemi kopułami. Setki psów szczekało woddali. Z lewej, na przestronnych, toczących się skłonach piasku, połyskiwały niezliczone ognie, rozniecone przed namiotami Uled-Nail. Przed namiotem sypialnym wznosiły się minarety i złocone kopuły miasta, które panowały nad niem ze swych wzgórz piaskowych. Poza tem była biaława równia niezmierzona pustyni samotnej, z której Domini i Androwski przybyli na doświadczenie tych barbarzyńskich drgnień życia. A miasto było pełne muzyki, tętniących tamtamów, piszczałek, zawodzących z ukrytych mieszkań, stłumionych, lecz przemnogich głosów męskich, które donosił do nich nikły wietrzyk wieczorny, a który zdał się był jakimś wiatrem białym, piasków bratem bliźniaczym.

— Chodźmy kawałek ku miastu, Borysie — rzekła Domini, gdy już ich goście wgrążyli się wspaniale w zwoje zwałów piaszczystych.

— Ku miastu!—odrzekł.— Dlaczegożby nie pójść?

Spojrzał w bok ku rozłożystym, bezszmernym piaskom.

Po raz pierwszy wyraziła zamiar sprzeczny z jego chęciami.

— To będzie nasz karnawał miejski, nasz sezon saharski. Poruczmy się tedy jemu. Samotność będzie później, jako antidotum.

— Bardzo dobrze, Domini — odrzekł.

Poszli kawałek ku miastu i stali cicho na piasku, na skraju jego wzniesienia.

— Słuchaj, Borysie! Czyż nie osobliwa jest ta muzyka barbarzyńska śród wieczoru? Wznieca mnie ona!

— Rada jesteś, że się tu znajdujesz.

Usłyszała w głosie jego dźwięk rozczarowania, lecz nie odpowiedziała na niego.

— Spojrzyj-no na te setki ognisk na piaskach!

— Tak jest—odrzekł,—to bardzo piękne, atoli samotność lepsza. To nie jest serce pustyni, to jest to, co arabowie nazywają „brzuchem pustyni". W sercu pustyni gości cisza wieczysta.

— Mimo to, gdyśmy się zbliżali do tego miejsca, miałam wrażenie, że to serce pustyni—rzekła.— Pamiętasz, że tak powiedziałam.

— Czy trwasz przy swem zdaniu?

— Wszak serce, Borysie, jest ośrodkiem życia. Czyż nie tak?

Milczał, Czuła, że jego czucie wewnątrz zmaga się z jej czuciem.

— Tego wieczora—rzekła, ujmując go pod ramię i spoglądając ku miastu—czuję tak wielką, gorącą sympatyę do życia mych bliźnich, jakiej jeszcze dotąd nie czułam. To mi spływa od ciebie, Borysie. Tak, tak jest. To się zrodziło z mej miłości dla ciebie i zda się wiąże mnie i ciebie wraz ze mną, ze wszystkimi tymi obcymi, z mężczyznami i z kobietami, ze wszystkiem, co tu żyje.

Zniżyła głos, a po chwili dodała:

— Być może, że w samotności, nawet z tobą, nie mogłabym dojść do pełni z sobą. I ty może w samotności nie doszedłbyś do niej z sobą. Uważam, Borysie, że to jest rzeczą dobrą dla nas pozostać czas jakiś w środowisku życia.

— Pragniesz tu zostać, Domini?

— Tak jest, przez jakiś czas.

I w tej chwili doznała uczucia dziwnie fatalistycznego, jakie ją czasami nawiedzało. „Tak sądzono, byśmy tu pozostali".

— Zostańmy tedy, Domini — rzekł spokojnie.

Nuta goryczna zniknęła z jego głosu, odżonął ją bowiem rozmyślnie przez miłość dla niej. Domini atoli zdało się, że słyszy ją, jak echo w duszy dalekie. W tej chwili kochała go, jak kobieta, z której on uczynił miłośnicę, lecz razem i jak kobieta, z której on uczynił matkę, dając jej dziecię.

— Dziękuję ci, Borysie—odrzekła bardzo spokojnie. — Jesteś dobrym dla mnie.

— Jesteś dobrym dla niej— rzekł, przypomniawszy sobie ostatnie słowa księdza Roubiera. —Jakżeż ja mogę być czem innem dla ciebie?

Ledwo wyrzekł te słowa, ciało jego wstrząsnęło się gwałtownie.

— Co ci jest, Borysie?—zawołała zdziwiona.

Uwolnił swe ramię z pod jej ręki.

— To... to zgiełk tego miasta, wędrujący tu poprzez piaski w porze wieczornej, taki niezwykły. Tak przywykłem do ciszy, że to mi działa na nerwy. Przyzwyczaję się wkrótce do tego.

Zawrócił ku namiotom, i ona poszła z nim razem. Zdało się jej, że on unikał jej zapytania, że nie chciał na nie odpowiadać, i uczucie, gwałtownie wzniecone przez powrót do życia w pobliżu miasta, pobudziło ją do szukania przyczyny tego. Nie mogła jej znaleźć, w poszukiwaniu atoli myślowem zatrzymała się mimowoli na Mogarze. I zdało jej się, że ten sam rodzaj niepewności, jaki owładnął jej mężem w Mogarze, brał go i teraz jeszcze okrutniej w swą władzę, że istotnie nerwy jego, jak mówił, były smagane. Nie pochodziło to atoli od zgiełków miasta.

Po obiedzie przyszedł do namiotu Batucz z namową, by zeszli z nim na dół do miasta. Domini, będąc pewną, że Androwski nie pragnie pójść, od razu odmówiła, twierdząc, że jest zmęczona. Batucz tedy zwrócił się do Androwskiego, proponując mu pójście, i, ku zdumieniu Domini, Androwski odrzekł, iż chętnie użyje tej przechadzki, jeżeli Domini nie ma nic przeciw temu, by ją opuścił na chwilę.

— To, być może — rzekł do niej, gdy już wyruszali z Batuczem,— uczyni mnie bardziej ludzkim; może to dokona we mnie wpełni tego, czego nawet ty, Domini, nie zdołałaś dokonać.

Wiedziała, że napomyka jej słowa, które była wyrzekła przed obiadem. Stał, patrząc na nią z lekkim uśmiechem, który atoli nie wróżył szczęścia, a potem dodał:

— Ta łączność, o której mówiłaś, pomiędzy nami i tymi obcymi—uczynił ruch ręką ku miastu,— tę łączność może i ja odczuję silniej, niż ją czuję dotychczas. Pragnę... pragnę spróbować.

Zatem obrócił się i poszedł z Batuczem poprzez wzgórza piaszczyste, stąpając ciężko.

Gdy go ujrzała odchodzącego, zmroziło się w niej coś nagle: było bowiem coś w jego zachowaniu, w jego uśmiechu, co zdało się ich rozdzielać, coś, czego nie mogła zrozumieć.

Wkrótce Androwski zniknął z widoku w zwałach piaszczystych, jak zniknął był w zwałach piaszczystych Mogaru w on czas—przed przybyciem de Trevignac'a. I oto raz jeszcze zatrzymała myśl uporczywą na Mogarze, odtwarzając w myśli—z żywotnością powrotną umysłu, spowodowaną przez zetknięcie z miastem—to wszystko, co się tam działo, tak żywo, jak tego przedtem nigdy nie czyniła.

Było to, zaiste, dziwne wydarzenie.

Poczęła chodzić zwolna tam i z powrotem po piasku za namiotem. Uardi zbliżył się, by jej towarzyszyć, lecz odprawiła go. Zanim jednak to uczyniła, coś ją skłoniło do zapytania go:

— Ten likier afrykański, Uardi... pamiętasz, ten, coś go przynosił do namiotu w Mogarze... czy jeszcze zostało go trochę?

— Likier mniszy, proszę pani?

— Co rozumiesz pod tem słowem: mniszy?

— Likier ten jest wynalazkiem mnicha, proszę pani, a sprzedają go zakonnicy z El Largani.

ELBFISZ I JABŁOŃSKI WARSZAWA, Długa 50 (Pasaż Simonsa), I-sze piętro, wprost Bielańskiej, tel. 142-71. Skład tiulu, wstążek, koronek i pasmanteryi poleca wszelkie nowości sezonowe. Specyalność: Wszelkie dodatki dla Pań magazynierek. Sprzedarz hurtowa i detaliczna. Ceny stałe hurtowe.

dwie kilka miesięcy. No, może z rok, co najwyżej. Biedny braciszek! Przypuszczam, że był to człowiek, który nie przejrzał siebie dostatecznie, a którego przeto skusił dyabeł.

— Lecz... po dwudziestu latach?—rzekła Domini.

Rzecz zdała jej się nie do wiary.

— Człek ten musi być w piekle obecnie—dodała.—W piekle, jakie człek sam swemi czynami gotuje. Otóż i mój mąż!

Androwski stał w drzwiach namiotu, patrząc na nich zdziwionemi i badającemi oczyma. Przybył bez szelestu, stąpając po piasku głębokim. Ani ksiądz, ani Domini nie słyszeli jego kroków. Ksiądz powstał z fotela i skłonił się uprzejmie.

— Dobry wieczór panu—rzekł, nie czekając na przemówienie.—Jestem jałmużnik z Amary i...

Urwał w całej pełni wymowy. Oczy Androwskiego wędrowały z jego twarzy na stół, na którym stała kawa, likier i smakołyki, przyniesione przez Uardiego. Było oczywistem nawet dla zajętego sobą księdza, że gospodarz nie słucha go. Była chwila przerwy niezręcznej. Zatem rzekła Domini:

— Borysie, ksiądz jałmużnik!

Rzekła nie głośno, lecz z zamiarem przywołania myśli Androwskiego. Postąpił wolno w głąb namiotu i podał w milczeniu rękę księdzu. Gdy to czynił, upadło na niego światło lampy.

— Borysie! ty jesteś chory!—zawołała Domini.

Ksiądz ujął rękę Androwskiego. Oczy jego, utkwione w gospodarza, świeciły zdumieniem, które się mieszało z jakiemś zakłopotaniem chłopięcem.

— Boli mnie głowa—rzekł Androwski.—Dlatego powróciłem,

Puścił rękę księdza. Spojrzał znowu na stół.

— To słońce dziś takie nieznośne—rzekła Domini.—Możeś...

— Tak, tak jest—przerwał.—Musi to być lekkie porażenie słoneczne.

Położył dłoń na głowie.

— Niech mi pan wybaczy—rzekł, mówiąc do księdza i nie patrząc na niego.—Istotnie, czuję się niedobrze. Innym razem...

Wyszedł z namiotu i zniknął po cichu w ciemności. Domini i ksiądz przeprowadzili go oczyma. Zatem ksiądz, z wyrazem zakłopotania, ujął kapelusz ze stołu.

— Muszę wracać, proszę pani. Mam kawał drogi, a godzina już późna! Pani pozwoli mi...

Podszedł do drzwi namiotu i zawołał przez nie głosem potężnym:

— Belgassem! Belgassem!

Chwilę zatrzymał się, a potem znowu zawołał:

— Belgassem!

Światło zamigotało nad piaskami od namiotu służących. Ksiądz zwrócił się ku Domini i uścisnął jej rękę.

— Dobrej nocy, pani.

— Bardzo mi przykro—rzekła, nie starając się zatrzymać go.—Mam nadzieję, że rychle pana zobaczę. Mąż mój jest oczywiście chory i..

Żołnierz stanął od zewnątrz drzwi namiotu, jak posąg z latarnią. Ksiądz wahał się. Trzymał w palcach dopalające się cygaro i na wychodnem rzucił na nie wzrokiem, a potem na pudełko z cygarami. Wyraz żałośliwy odbił się na jego bronzowej i zarośniętej twarzy. Było coś w tym wyrazie, co aż litość wzbudzało. Domini podeszła szybko do stołu, wzięła dwa cygara z pudełka i podała je księdzu. DCN.

Wiadomości literackie.

Polonica.

× Cenny i zajmujący przyczynek do naszej historyi odnaleziono w jednej z bibliotek holenderskich. Jest to dzieło p. t. „*Anecdotes de Pologne ou mémoires sur la cour du roi Jean Sobieski*", napisane przez p. Daleyrac'a, a wydane w Amsterdamie w r. 1699-tym. Autor, szlachcic francuski, przebywał na dworze króla Jana i większą część życia w Polsce przepędził. Towarzyszył on królowi w różnych wyprawach—pod Wiedeń, na Węgry i Wołoszczyznę, i opis tych właśnie wypraw wydał pod powyższym tytułem. O sztuce wojennej monarchy, hetmana Jabłonowskiego, Kątskiego, generała artyleryi, i Hieronima Lubomirskiego wyraża się Daleyrac z wielkiem uznaniem. Podczas wyprawy węgierskiej w r. 1683-cim Daleyrac, wysłany do królowej, która przebywała wówczas w Łobzowie pod Krakowem, został w drodze pochwycony przez turków i osadzony przez nich w twierdzy Neuhäusel; dopiero po śmierci komendanta twierdzy turcy wydali Daleyrac'a królowi polskiemu za 30 oficerów tureckich.

Opowiada też Daleyrac różne ciekawe epizody z wycieczek po kraju, jakie z królem i dworem jego odbywał; dowiadujemy się też od autora o podróży królowej Maryi Kazimiery, która, na skutek namowy jakiegoś włoskiego lekarza, a wbrew woli króla-małżonka, pojechała do wód śląskich Warmbrunn, zabrawszy ze sobą dzieci i część dworu. Dalej opisuje Daleyrac swoję podróż do Francyi, powrót do Warszawy i przygody, jakie go spotkały z powodu przewożenia wody Vichy dla królowej Kazimiery. Pierwszy transport przez Niemcy przewiózł szczęśliwie, lecz strażników pogranicznych zastanowiło to przewożenie zwyczajnej wody; stąd też przy drugim transporcie policya cesarska powzięła podejrzenie, że butelki muszą być choć w części napełnione pieniędzmi, które rząd francuski przez Polskę do rokoszan węgierskich lub turków potajemnie wysyła. Gdy Daleyrac zatem jechał prosto z Bawaryi na Morawy, omijając Wiedeń, w okolicach Ołomuńca został przytrzymany i odwieziony do Wiednia. Tu rozpoczęło się wielkie śledztwo i dopiero po uzyskaniu posłuchania u cesarza Leopolda, na skutek nalegań króla Jana, pozwolono Daleyrac'owi odjechać z ładunkiem do Warszawy.

P. Daleyrac znał dobrze język polski, a pamiętniki jego zalecają się zupełną bezstronnością i wielką dokładnością historyczną.

Z literatury włoskiej.

× *Matylda Serao.* „*Il romanzo della fanciulla*" („*Romans dziewczyny*")—„*Il pellegrino appasionato*" („*Namiętny pielgrzym*"). Popularna powieściopisarka wystąpiła z dwoma nowemi romansami. W pierwszym mamy marzenia, cierpienia, rozczarowania, ciche czyny bohaterskie i ofiary ludzi—przeważnie kobiet—z niezamożnego małomieszczaństwa neapolitańskiego. Matylda Serao sferę tę zna i odczuwa lepiej prawie, a w każdym razie przedstawia bardziej przekonywająco, niż tryb życia, obyczaje i zapatrywania sfer wyższych, świata parlamentarnego i publicystycznego.—Romans drugi to raczej nowela — smutne dzieje wychodźcy, który, powróciwszy po latach piętnastu, zastaje swoje piękne, wesołe, rozśpiewane miasto rodzinne, Neapol, przebudowane, zmodernizowane; zmienili się w niem i ludzie, przyjaciele znikli, albo stali się nieprzystępni, ukochana dziewczyna została żoną innego. Obcy wszystkim i każdemu obojętny, wraca „pielgrzym" za morze ze zniweczoną piętnastoletnią nadzieją, z pustką w duszy.

Z literatury amerykańskiej.

× *F. M. Burton.* „*Redcloud of the Lakes*". Indyanin nie zajął dotąd należytego stanowiska w literaturze. Tembardziej zatem zasługuje na uwagę powieść p. Burtona, którego dramat indyjski „*Strongheart*" miał duże powodzenie. Obznajmiony doskonale z duszą i wierzeniami ludu indyjskiego, autor dał w ramach powieści niniejszej taki wierny i szczegółowy obraz życia czerwonoskórych od czasu, gdy, wyparci z własnej ziemi, zostali pensyonarzami rządu związkowego, że książka ta może rościć prawo do znaczenia historycznego. Akcya toczy się dokoła trzech pokoleń rodziny szczepu Ojibway i zaczyna się widzeniem, jakie miał Megios, głowa rodu, gdy pewnego razu błagał bogów, by mu pozwolili spojrzeć w przyszłość, i został po dziewięciodniowym poście i modlitwie wysłuchany. Bogowie ukazują mu przyszłość w postaci symbolu, którego znaczenie zrozumiał dopiero jego wnuk; w procesie dostrajania się do rasy białej, które ma zapobiedz zaginięciu ich rasy, muszą indyanie wyzbywać się swej odrębności. Dzieci ich, które z ciężkiem sercem posyłają do szkół, założonych przez białych, stają się rodzicom obce, nie należą już do nich, lecz do świata z inną zupełnie kulturą. Taki jest rys zasadniczy powieści, która w licznych doniosłych epizodach z historyi rozwoju młodzieńca Redcloud skreśla tragedyę cywilizacyi indyan. Autor opracował temat tak dokładnie i umiejętnie, że stworzył zgoła niepoślenie dzieło sztuki.

TREŚĆ NUMERU 47-go.

Emilia Plater. *Wacław Gąsiorowski.*
Marzyciel. *Władysław St. Reymont.*
Budowa świątyni. *Józef Jankowski.*
Ogród Allaha. *Robert Hichens.*
Wiadomości literackie.

PRENUMERATA wynosi z przesyłką pocztową: **4** rb. rocznie, **2** rb. półrocznie; **1** rb. kwartalnie.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI: Aleja Jerozolimska, № 49.

Redaktor i wydawca „Romansu i Powieści": JÓZEF JANKOWSKI.
Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniewski, Kraków, ul. Zyblikiewicza № 8.

Druk Tow. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie.